№ 32.

WARSZAWA DNIA 28 Lipca / 10 Sierpnia R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

WPŁYW KOBIET NA POSTĘP WIEDZY,

H. T. BUCKLE'A,

SPOLSZCZYŁ

Stanisław Czarnowski,

Stu. Sz. Głów. Warszawskiéj.

Warszawa, w Drukarni K. Kowalewskiego, 1867 roku str. 48.

„Jedném z najżywotniejszych zagadnień jest bezwątpienia stanowisko i znaczenie kobiety w społeczeństwie i cywilizacyi". To też z usiłowaniami rozwiązania tego zagadnienia spotykamy się w każdéj niemal godzinie —i niéma może kwestyi w któréjby się krzyżowało tyle najróżnorodniejszych, najsprzeczniejszych między sobą, poglądów. Każdy objawia tu swoje subjektywne zdanie — obok despoty wschodniego widzimy zaraz rycerza średnich wieków, a tuż przy nim i służalca wyemancypowanych amazonek. Ta więc rozmaitość poglądów nie pozostaje w teoryi ale urzeczywistniana w życiu wydaje stosunek do siebie dwu połów rodzaju ludzkiego. To też najznakomitsi myśliciele brali kwestyą tę pod skalpel swéj krytyki — od Platona i Arystotelesa aż do najnowszego idealnego realizmu niemieckiego, stanowiła ona jedno z ważnych zadań, rozwiązanie których przyczynić się miało do określenia stanowiska rodziny, jako podstawy społeczeństwa i państwa. Etyka wypowiedziała tu prawie ostatnie swoje słowo; potrzeba więc tylko wprowadzić w życie rezultaty tylu wiekowéj pracy, zamienić teoryą w czyn. Niestety — nic trudniejszego nad zrealizowanie wyników filozoficznéj abstrakcyi, przed którą my, nie wyłączając nawet warstw ukształceńszych, żegnamy się jako przed herezyą lekceważącą stereotypowe formuły pseudo-moralności — a jeżeli w przedpotopowéj prostocie ducha odrzucamy wyniki umiejętności, nad którą zda się że na długie wieki zawisła nieszczęśliwa dola rzeczypospolitéj platońskiéj, z chciwością za to chwytamy wszystko to, co nas dochodzi w lekkiéj i ponętniejszéj szacie. Jest to fakt, rażący oczy gorzką prawdą ale zaprzeczyć mu nikt nie może. Prace Trentowskiego, Liebelta, Cieszkowskiego, Kremera i innych, pięknie oprawne zdobią półki domowych bibliotek naszych, ale spytajmy się gdzie owoce ich trudów? gdzie pracownicy którzy by pchnęli daléj, wyprowadzoną przez nich na morze myśli, łódkę?..

Nim przeto pojęcie stanowiska kobiety, określone na zasadach umiejętności, wejdzie w szersze szranki z ciasnego obrębu, na jakim dotąd przestaje—chwytamy, powtarzam, wszystko czém bez wielkiego natężenia organów mózgowych, w przedmiocie tym zasilić się możem duchowo. Od niedawnego czasu epidemicznie poczęły u nas mnożyć się pisma peryodyczne przeznaczone wyłącznie dla kobiet. Nie śmielibyśmy zawyrokować że dla wszystkich z tych pism była pobudką chęć prawdziwie obywatelska, aleź i one znalazły ciemności które rozświecać mają, są więc dowodem dobrego usposobienia ze strony publiki... Ne odczyty publiczne które w ostatnich czasach stały się prawie potrzebą naszéj stolicy, trzech prelegentów obrało sobie temata dotyczące kwestyi *niewieściéj*. W ślad za tymi odczytami jako kontynuacya ruchu w obranym kierunku wyjrzały na świat *„kobiety"* Scherra, i świeżo wyszła broszurka p. t. *„Wpływ kobiet na postęp wiedzy."*

Autorem jéj jest znakomity autor *„Historyi cywilizacii w Anglii"* H. T. Buckle. Zadanie jakie sobie postawił do rozwiązania, dziwi zrazu czytelnika.

Naraz stają nam w myśli wszystkie znakomitości niewieście i pytamy się sami siebie: czyż one przyczyniły się tyle do postępu ludzkości by wpływ ich stał się godnym pióra p. Buckle'a? Tymczasem, otworzywszy książkę, przedmowa tłumacza objaśnia nas zaraz, że nie jednostki, nie wybujałe tu i owdzie znakomitości, ale kobieta w ogóle jako połowa ludzkości, staje przed oczyma autora. W przedmowie swéj tłumacz streścił cały wykład, przytaczamy więc streszczenie to dosłownie prawie:

„Indukcya sama acz dzielnym jest czynnikiem w gromadzeniu wiedzy, jednak ograniczając się tylko na badaniu faktów, nie sięga przyczyn i istoty rzeczy, do zgłębienia czego jedynie drogą dedukcyi dojść możemy. Dowodzą tego dzieje ludzkiéj wiedzy. Największe odkrycia nawet w umiejętności przyrody na téj uczyniono drodze. Bez tych wielkich prawd postęp wiedzy a więc i postęp cywilizacyi, byłby znacznie opóźniony. Chociaż żaden z utworów pomnikowych i wielkich odkryć umysłowości ludzkiéj, posuwających naprzód wiedzę, nie był utworem kobiet, to jednak miały one wielki wpływ we względzie metody badania. Kobiety będąc dedukcyjniejsze od mężczyzn, których umysł z natury skłonniejszym jest do indukcyi, wywarły dobroczynny wpływ na metodę, za pomocą któréj dokonane zostały wielkie odkrycia. Nie dozwoliły one popaść w jednostronny kierunek indukcyi, a dając popęd do dedukcyjnego badania, przyczyniły się do postępu wiedzy. Większość genialnych ludzi miała znakomite umysłem matki. Kobieta jako matka, jako pierwsza i najbliższa nauczycielka swych dzieci ma obszerne pole działania i w istocie działanie to jest dobroczynne i niezmierne ma znaczenie dla postępu wiedzy, dla postępu cywilizacyi...

Oto stanowisko jakie autor przyznał kobiecie w cywilizacyi. Owo ciepło niewieściéj piersi, ów czar poezyi który każdego z nas wprowadza w rozkoszne doliny Edenu, gdy, jak mówi poeta, utonie w oczach bogdanki — owę łagodność która niewidzialnie kieruje szorstkością naszą — autor zredukował do *wyobraźni* i nadał jéj umiejętne stanowisko w metodzie badania ludzkiego. „Wpływ kobiet, mówi on — więcéj niż wszystkie inne czynniki razem wzięte, unosi nas w świat idealny, podnosi z prochu, w którym skłonni jesteśmy pełzać i rozwija w nas te zarodki wyobraźni których nie są pozbawione w pewnym stopniu nawet najleniwsze umysły.“ Czujemy pewną wdzięczność dla autora, że żyjąc w kraju, który w punkcie emancypacyi kobiet współzawodniczy z nowym światem, nie dał się uwieść krzywym wyobrażeniom nowego postępu i zatrzymawszy kobietę na właściwém jéj stanowisku w rodzinie, uszlachetnił je i podniósł do tak wysokiéj godności.

Powtarzając z tłumaczem, że artystyczny układ i wykończenie, ścisła logika, wielka siła dowodów, rozległość poglądu, dokładność i jasność, są uderzającemi zaletami téj rozprawy wielkiego historyka Anglii, musimy zarazem P. Czarnowskiemu oddać zasłużoną pochwałę za staranny i piękny przekład, którym rozprawa ta prawdziwie *spolszczoną* została.

Ad. M.

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dalszy ciąg).

Scena 4.

ZULIMA—ADEL.

ZULIMA. Każ wyszukać z pomiędzy więźniów jakiego kapłana nazareńskiego, któryby potrafił odczytać to pismo. (Wskazuje na płótno).

ADEL. Idę i przyprowadzę.

ZULIMA. Mógłby się spostrzedz Ramiro, gdybyśmy mu wzięli to płótno. Lepiéj byłoby odczytać je w nocy podczas mocnego snu Ramira — a nie domyśli się niczego.

ADEL. O, zanim noc zawita, Ramiro sam ci wyjaśnień udzieli. (na stronie) Chce mnie się pozbyć koniecznie. (Wychodzi).

Scena 5.

ZULIMA —MARSYLIA.

ZULIMA. Pierś jego zaczyna się poruszać. Już czas. Kilka kropli przywołają go do życia. (Przytyka mu flaszeczkę do nosa).

MARSYLIA. Ach!

ZULIMA. Wraca do przytomności.

MARSYLIA (podnosząc się). Co za światło rażące. Nie mogę go znieść.

ZULIMA. (zasuwa z pośpiechem opony u okien). Nieszczęśliwy, przywykł do ciemności pieczar więziennych.

MARSYLIA. Nie—to nie moje wezgłowie — to łoże! Cóż się stało z mojem więzieniem? Pani —(wpatrując się w Zulimę).

ZULIMA. W czasie letargu przeniesiono cię tu za moim rozkazem. Pozostaniesz odtąd pod moją opieką.

MARSILIA Niewolnikiem przez całe życie!

ZULIMA. Porzuć tę troskę — zostaniesz wolnym.

MARSYLIA. Gdzież jestem?—Kogóżto widzę przed sobą?

ZULIMA. Kogo?..· Żonę — Alkaida!

MARSYLIA. Merwana?! (zawraca oczyma naokół siebie, dostrzega płótno zapisane i ukrywa je szybko).

ZULIMA. Tak — jestem żoną Merwana, ale głos mój ma władzę prawa. Merwan niczego nie przedsiębierze bez mego posłuchania. Pod nieobecność króla Walencji, jam jest panią tego zamku — ja Zoraida.

Marsylia. (na stronie). Jeżeli przeczytali. Co za nieroztropność, (do Zulimy). Zapewne Merwan powierza ci swoje tajemnice.

Zulima. Niema ich żadnych przede mną. Winieneś pójść za jego przykładem.

Marsylia. (Na stronie), Jest wspólniczką...

Zulima. Uspokój się — choraba twoja ustępuje. Rumieniec zdrowia zabarwi szybko twoje lica.

Marsylia. O, dla mnie potrzeba innego lekarstwa.

Zulima. Jakiego? mów?..

Marsylia. Napić się rodzinnego powietrza.

Zulima. Nie pominę żadnego środka dla twojego szczęścia: Swobodę, skarby... co zechesz, wszystko mieć będziesz.

Marsylia. Wystarczy mi złoto, które mi zrabował twój ojciec. Kiedym wysiadał z okrętu, wydarł mi szczęście i mienie.

Zulima. Z lichwą zwrócę ci stratę.

Marsylia. Dziewico niebios, zstąpiłaś tu, by położyć kres nieszczęściu mojemu. Jesteś serafinem w szacie śmiertelnika. I miałożby to być prawdą?... Któż cię wynagrodzi za tyle łask nieoszacowanych?

Zulima. Jestem kobietą — a na dowód tego, żądam zapłaty.

Marsylia. Tak, wdzięczności dozgonnéj.

Zulima. Pożądam więcéj.

Marsylia. Nic nie posiadam więcéj.

Zulima (spogląda na klejnot zawieszony u jego szyi). Talizman który widzę u twéj szyi, czy nie mieści w sobie czarów jakich?

Marsylia. Tak, mieści je... ale dla chrześcianina,

Zulima. Ależ mi szkodzić nie może... Pozwól, niech go obejrzę, jeżeli go tem nie skażę.

Marsylia (podając pierścień z klejnotem). Bierz Zoraido. Powierzam ci jedyne moje dobro. Zresztą, jako niewolnik kto wie, czybym dobrze postąpił odmawiając ci tego.

Zulima. Skoro strata tak drobnéj fraszki dojmuje ci tak boleśnie, to kto wie, czy i ja postąpiłabym lepiéj od ciebie, ufając nazbyt twojéj wdzięczności.

Marsylia. Z rozkoszą przelałbym krew za ciebie. Dusza moja odstępuje ci całą część wdzięczności, jaką wydzielić zdoła — i oby Bóg dał, ażeby i większą część mogła ustąpić dla ciebie.

Zulima. To znaczy, być bardzo wdzięcznym. Chciałżebyś może odpłacić się miłością? Z tego co słyszę, zdajesz się sądzić, że pałam namiętnością ku tobie. Sądziłam, żeś mniéj próżny, lecz nie obrażam się tem.

Marsylia Nie widzę niewiasty w tobie, ale boskość, zasadzającą chwałę swoją na rozdawaniu łask. A ta zapłata o któréj napomknęłaś?

Zulima. Niewielka. Pragnę wyznania rzetelnego o twojem pochodzeniu i godności. Roztocz tajemnicę, którą się wy niewolnicy tak często osłaniać lubicie. Możeś spokrewniony z rodem monarszym? Zeznaj przedemną, Pożądam chciwie zapłaty, jakkolwiek to nie doda ci już więcéj wartości nad tę, jaką przywięzuję do ciebie.

Marsylia. Los był zawsze skąpym i okrutnym względem mego domu,

Zulima. Jakto? Miałżebyś niepochodzić ze znamienitego rodu? a jednąk byłeś panem okrętu złotem naładowanego?

Marsylia. Ach! gdyby mnie fortuna była wykołysała w kolebce złocistéj, nie byłbym teraz twoim niewolnikiem. Mój umysł spokojny nie zadawałby sobie gwałtu, ażeby gromadzić skarby w zawodzie kupieckim.

Zulima. W każdym wyrazie twoim rwie się zakryta tajemnica. Nieprawdaż, ty się nazywasz Don Ramiro.

Marsylia. Nazwisko moje, Diego Marsylia. Kolebką moją Teruel, miasto wzrosłe u brzegów chłodnej Turyi, miasto powstałe w śród okropności wojny, poświęcone krwią jego dzielnych mieszkańców. Stwórca dając mi postać ludzką, chciał bez wątpienia zespolić zarazem miłość mężczyzny z niewieścią, a pragnąc oboje obdarzyć równością uczuć, udzielił im duszę jednę, rozdzieloną na dwoje, i rzekł stwarzając ich: Żyjcie i kochajcie się! Na głos ten stworzona Izabela i ja — istniejemy. I światło pierwsze ujrzeliśmy w jednym dniu, o jednéj godzinie. Od lat zamierzchłych łączy nas miłość. Namiętność zdawała się być w sercach naszych od dziecka tak wrodzoną, jak gdyby już była istniała przed urodzeniem się naszem. Obojętni oboje na świat, który wzajem nie zważał na nas, pędziliśmy wiosnę latek dziecęcych w spokojności tak głębokiéj, w takiem szczęściu, że i pojąć nie mogłem, by mogło istnieć większe szczęście w wieczności.

Zulima. To prawda. Mów — słucham cię. Zająłeś mnie bardzo.

Marsylia. Ubiegł czas rozkoszy, a nastąpił wiek śmiertelnéj kary. Znaleźli się zawistni.

Zulima. Och, to okrutna kara. I jam jéj doznała.

Marsylia. Miałem rywala.

Zulima. Rywala?

Marsylia. Bogatego.

Zulima. Tem bardziéj —

Marsylia. Pysznił się bogactwy swemi.

Zulima. I uwiódł piękność twoją?

Marsylia. Nie wiele zdołają czary złota na tych, co kochają szczerze. Ale ojciec jéj olśniony...

Zulima. Nie uwzględniwszy twojéj miłości, oddał przeciwnikowi kochankę.

Marsylia. Udałem się doń. Namiętność przemówiła całym dobytkiem sił swoich — a on, wstrzymał ten związek, stawiwszy mi warunek...

Zulima. Jakiż?

Marsylia. Jeżeli w ciągu sześciu lat zbogacę się.

Zulima. Czy upłynęły już?

Marsylia. Powiedziałem ci że nie byłem bogaty.

Zulima. Termin upłynie?

Marsylia. Za sześć dni.

Zulima. Tak prędko?

Marsylia. Brakło mi złota. Wasz monarcha zagrażał wówczas chrześciaństwu. Nie mogłem téj sprawie poświęcić ramienia; tylko nadzieja powodzeń krzepiła moje męztwo. Otrzymawszy nareszcie zezwolenie ukochanéj, podążyłem na dwór króla do Kastylii, i walczyłem za wiarę na polach Tolossy.

(d. c. n.)

KILKA USTĘPÓW

z Teofila Gautier.

Lamento.

Czy znasz te głazy grobowe,
Gdzie stojąc drzewo ciosowe,
Smutnie powiewa?
Na cisie gołąbka drżąca,
Tęskna, o zachodzie słońca,
Piosnkę swą śpiewa.
Nuta chorobliwie tkliwa,
Wdzięcznie i zgubnie przygrywa,
I drzysz w cierpieniu,
Chcąc ją wciąż słyszyć do koła,
Jakbyś głos słyszał anioła,
W niebios westchnieniu.
Rzekłbyś, że dusza zbudzona
Tam płacze z pod ziemi łona,
W którem piosenki—
I na troskę zapomnienia,
Skarzy się wśród nocy cienia,
Cichemi jęki.
Na skrzydłach pieśni — promienne,
Wraca wspomnienie półsenne,
I drzy w twem łonie—
A cień w anielskiéj postawie,
Lśniący, przesuwa na jawie,
W białéj osłonie.
Kwiaty na grobowcu wsparte,
Z kielichów, co pół — otwarte,
Tryskają wonie—
A widma w lekkim polocie,
„Czy wrócisz tu?“ szepczą do cię,
Podając dłonie.
O! nigdy pomiędzy groby,
Nie pójdę—doczekać doby
Gdy noc nadchodzi—
Słuchać gołąbki—co w śpiewie;
Na smutnem cisowem drzewie.
Skargi rozwodzi.

POGADANKA TYGODNIOWA.

Jeden z naszych czy obcych myślicieli wyrzekł był zdanie, że nie ma książki na świecie choćby bez żadnéj wartości, z którejby się czegoś dowiedzieć nie można było. W podobnéj, jakby w poparciu rzuconego twierdzenia, znalazłem myśl w cale oryginalną. Autor mówiąc o małżeństwie, powiada, że największy wydatek na jaki w dzisiejszych czasach, przy wysokich cenach mięsa i chleba, człowiek samowolnie skazuje się, jest ożenienie.

Zdanie to ma pewną zasadę. Żeniący się bowiem musi myśléć o urządzeniu domu, o mebelkach, sprzętach kuchennych, zapasach spiżarnianych, a jeżeli mieszka na wsi, o koniach, powozie, liberji, co wszystko lada czem załatwić się nie da. Zasobnych, coby wydatki podobne własnym opędzali funduszem, bardzo niewielu, ogół zwykle ratuje się pożyczką, często bardzo uciążliwą, w nadziei późniejszego wyrobienia się, powiększenia dochodów, szczęśliwego jakiego zdarzenia, lub wreszcie odebrania spodziewanego posagu. W Warszawie załatwia się to kilku tysiącami, na wsi często i dwadzieścia nie wystarcza, a w każdym razie żeniący, ciągnie się o ile można najwięcéj, o ile kredyt na to pozwala, choć więc wyda znacznie mniéj, zawsze w stosunku do swego położenia, robi ogromny wydatek, stawiający go tuż nad brzegiem ruiny. Zaciągnięty bowiem dług wymaga opłacenia procentów i umorzenia, a że oszczędność niełatwa, więc się łata jak może, kuli, ściska, tu pożycza tam oddaje, w domu kwasi, za domem morduje i tak brnie się coraz daléj i daléj, nie zawsze a nawet rzadko, po latach długich i zawodach licznych, wychodząc na czysto z interesów w jakie się w pędziło przez ożenienie. O tak zwanych karjerach przez posażne małżeństwo, nie wspominam, są to jakby wielkie wygrane na loterji, które jako szczęśliwe wypadki losu w rachunek wchodzić nie mogą. Przytem nie zawsze i posag zwyczajnie praktykowany wyprowadza z kłopotów. Dla Warsza-

wiaka sto tysięcy a choćby i mniejsza znacznie kwota, wzięta do ręki wiele znaczy, u młodego wiejskiego gospodarza, często tylko łata najlżejsze potrzeby, bo posag idzie na hypotekę. a kieszonkowe długi zostają nietknięte. Kłopot więc z niemi pozostaje kłopotem, tylko zwiększonym przez pożyczkę na ożenienie zaciągniętym. Gdyby wreszcie wydatki te dały się opędzić groszem własnéj kieszeni, to i tak szczerba w niéj robi się nie bagatelna, pozbawiając obrotowego kapitału tak w gospodarstwie koniecznego. W każdym zatem razie, według obyczaju dziś przyjętego, każde ożenienie zmusza do wydatku, jakiego nie każdy może i chce się dopuścić. Cóż więc dziwnego że tylu kwaśnieje w starem kawalerstwie, że młodzież tak zawzięcie ugania się za posażnemi pannami? Czyż nie ma na to rady? Czyż małżeństwo nie może stać się stanem przynoszącym obok szczęścia moralnego i korzyść materjalną? Gdybyśmy mieli mniéj pychy a więcéj rachunku, mniéj oglądania się na to co ludzie powiedzą a więcéj baczenia na własny dobrze zrozumiany interes, ożenienie nie byłoby tak kłopotliwem, a przynajmniéj nie pochłaniałoby tyle grosza, z uszczerbkiem naszéj spokojności. Młoda para mająca się połączyć węzłem małżeńskiem, obliczywszy się dobrze z funduszami jakiemi ma rozporządzać, do nich stosowałaby wszystko, a strzegąc się jak ognia zaciągania długów, zaopatrywałaby się w rzeczy nie konieczne bo w tem nie ma ograniczenia, ale w to tylko bez czego żadnym sposobem obejść się nie można. Jeżeliby więc nie mogło być inaczéj, poprzestałaby w Warszawie na pokoiku i kuchence choćby za rogatkami lub na Pradze, a na wsi na prostéj bryczce i koniach z bron wyprzęgniętych. Zamknięta w domu żyjąc tylko z najbliższemi, oddałaby się z całem zamiłowaniem pracy, staraniu i oszczędności, mając w ciągłéj pamięci, że według stanu, powinna być grobla, że jaki zasiew taki plon, jaki pień taki cień, jaka praca taka płaca. I byłaby choć w ciszy i mierności prawdziwie szczęśliwą, bo spokojność domowa i miłość nawet w piekle raj stworzyć potrafią. Ale co ludzie na to powiedzą? Przysłowie twierdzi że jak cię widzą tak cię piszą. Jabym umarł ze wstydu, odezwie się zapewne nie jeden, gdybym żonie nie zapewnił tych przynajmniéj wygód i przyjemności jakie miała w domu. Łatwo radzić sielankowe życie w jednym pokoiku, wożenie żony kamieniarką i bronowłókami i zamknięcie się w domu jak w celi klasztornéj, ale trudno dokonać. Jesteśmy ludźmi i z ludźmi żyjemy musimy się więc stosować do wymagań światowych. Muru głową nie przebije, a jakieś wyszczególnienie się nowością dotąd nieznaną i śmieszne i nieznośne.

Prawda że to nie łatwo, zwłaszcza gdy się inaczéj było przyzwyczajonym, ale trudniéj sto razy znosić późniejsze nagabywania wierzycieli, pozwy, wyroki, zjazdy komorników, wieczną niespokojność, zmartwienia i ten ciągły brak grosza na najkoniecznièjsze wydatki i mozolne o niego starania. Czyż więc godzi się, dla sztucznego błyszczenia, skazywać się na takie tortury? Czyż nie rozumniéj przyznać się do skromnych dochodów, odrzucić nieszczęśliwy pozór pańskości, a żyć w spokoju i niezależności? Czyż to człowiekowi tak wiele potrzeba do szczęścia, czyż wreszcie zdobywa się go tylko wystawnem życiem, obszernem mieszkaniem i powozami? Ludzi posiadajacych znaczne dochody a żyjących jak biedacy, nazywami skąpcami, sknerami, chciwcami, i słusznie gardzimy niemi: czemże nazwiemy chudych pachołków udających panów? A jednak udajemy ich wszyscy, z małym nader wyjątkiem, od chaty do pałacu, i odrzucając własne nogi z któremi choć na bosaka każdemu raźniéj i wygodniéj, przyprawiamy gliniane przystrojone w łachmanki kłamanéj pańskości. Czyż to nie śmieszne? A czy bogaty sknera ułudzi ludzi okazywanym brakiem a ubogi pozorami swego państwa? Swiat nie taki łatwowierny jak przypuszczamy, i w podobnych razach oszukujem nie jego, tylko siebie.

Co zaś do owego wyrażenia dosyć utartego, co świat na to powie, patrząc na młode małżeństwo stosujące roztropnie wydatki do dochodów, i gardzące wszelkiemi pozorami nieodpowiedniemi ich funduszom, to o to można być zupełnie spokojnym. Krótkowidze, letkiewicze, arlekini w cudze piórka przystrojeni, zadziwią się, wydrwią, obmówią, a nawet odsuną się, ale mniejsza o nich, mała strata krótki żal. Towarzystwo takich nie przynosi ani zaszczytu, ani szczęścia, ani prawdziwéj w życiu przyjemności. Za to rozumni, zacni i poczciwi, podobnych nowożeńców uszanują, pokochają, nawet uwielbią i obdarzą prawdziwą przyjaźnią, stanowiącą główną osłodę ciężkiego na ziemi życia.

Jednym powodem tego nienaturalnego urządzenia się społecznego, jest nic więcéj tylko... tchórzostwo. Odważni w różnych kolejach życia, w przyznaniu się do szczupłego mienia, do ubóstwa, tchórzemy jak dzieci w ciemnicy. Rolę żaby nadstawiającéj nogę do kucia odgrywamy wiecznie, gardząc swobodą rumaka po stepie bujającego. Czyż ma tak zostać na zawsze?

Czuję, że rozgadałem się nieznośnie, że bocianowi źle zwykle na świecie i niewygodnie, ale mamże milczeć gdym mówić powinien? Łajcie więc ale czytajcie i róbcie jak radzę, a może kiedyś powiecie: Bóg zapłać!

ZARYSY

HISTORJI WŁOSÓW.

Każdy przedmiot choćby najdrobniejszy posiada swoją historją, włosy zatem nie mogą być w téj mierze wyjątkiem, zwłaszcza że od początku świata, aż do dni dzisiejszych, zajmowano się niemi bardzo. Rozczytując się nawet w starym testamencie można dowiedzieć się, że i w czasach starożytnych, włosy były nie tylko w poszanowaniu jako naturalna ozdoba głowy i twarzy, ale nadto wywierały wpływ na przebieg wielu ważnych wypadków.

Początkowa historja rodu ludzkiego, mówi o pierwszéj kobiecie posiadającéj pyszne sploty włosów spadające aż do samych stóp; stanowiły one strój naturalny, któremu nie podobna odmówić pewnego wdzięku i powabu. Bujna jednakże czupryna nie za-

wsze jest pożądaną. Absalon żyłby dłużéj niezawodnie gdyby nie gęste i długie włosy, a ileż to przekleństw rzucili poeci i historycy na Dalilę, za zdradzieckie obcięcie włosów Herkulesowi hebrajskiemu. Są to fakta niewątpliwe, bo stwierdzone najpoważniejszą księgą, ale nie brakuje również i legend tajemniczych, z zatarciem okoliczności, do których je odnoszono kiedyś. Cóż naprzykład znaczy owo podanie że choroba włosów nazywana pliką polską, datuje się od téj chwili, w któréj Gorgonie wyrosły na głowie węże zamiast włosów? Można również przypuszczać z wielkiem prawdopodobieństwem, że owa wyprawa Argonautów po runo złote, jest tylko symbolem wyprawy zbrojnéj, celem zdobycia ręki jakiéjś piękności, jak to ówcześnie było we zwyczaju.

Nie podobna zaprzeczyć, że w czasach starożytnych piękności rzymskie i greckie dopuszczały się różnych nadużyć mogących zeszpecić twarz nawet najregularniejszą. Któżby uwierzył, że wedle ówczesnego gustu, kobieta mająca gęstą brodę, i długie pokrętne wąsy, uważaną była za najpiękniejszą, a skutkiem tego te dodatki odmówione przez naturę, sprowadzane były stucznie, za pomocą golenia i rozmaitego rodzaju maści. Prawo o którym wspomina Cyceron zabraniające kobietom zapuszczania zarostu na twarzy jest najlepszym dowodem, że ten zwyczaj śmieszny, upowszechniał się coraz więcéj.

Podobnie skażony smak można dostrzedz w sztuce greckiéj, bo bogini miłości Wenus, wyobrażoną jest w postaci kobiety z czarną i połyskliwą brodą.

W dzisiejszych czasach kolor złoty włosów czyli mówiąc po prostu rudy, nie jest bynajmniéj uważanym za najpiękniejszy, a nawet w wielu krajach prócz jednej Anglji, obudza pewną odrazę; tymczasam za czasów Tycjana, tak dalece kochano się w tym kolorze, że nawet poważni ojcowie rodzin, a cóż mówić o młodzieży, dokładali wielkich starań aby naturalny kolor włosów choćby najpiękniejszy zmienić koniecznie na kolor złota roztopionego. Mieszaniną siarki ałunu i miodu smarowano obficie włosy, a póżniéj nieraz kilka godzin siedziano na płaskich dachach, aby módz się tylko popisać z głową podobną do rozpalonéj głowni. Zamiłowanie koloru rudego można dostrzedz i w Grecji, nie przedarło się ono jednak do sfer poważniejszych, gdyż w komedji Menandra mąż odpycha swą żonę, ponieważ ta przyszła z głową sztucznie umalowaną na czerwono.

Skoro Rzym zajął Galją i Germanją, wówczas na podobieństwo kobiet mieszkających nad brzegami Sekwany i Renu, w stolicy świata ucywilizowanego, zaczęto nosić włosy blond, i ten kolor uznano ogólnie za najpiękniejszy. We Francji za czasów pierwszego cesarstwa, moda ta wskrzeszoną została, a nawet noszono fałszywe włosy koloru odmiennego od włosów naturalnych. Również w téj epoce, złote włosy znajdowały wielkie powodzenie w Irlandji i w okolicach Dublina, gdzie lud wiejski śpiewa nawet pieśni, utworzone na cześć koloru przypominającego kolor płomienia wydawanego przez palącą się smołę.

Zdanie że nie ma nic nowego pod słońcem, można szczególniéj zastosować do sposobu wiązania włosów i ich przystrajania,— zdaje się że wszelkie możliwe kombinacje zostały już wyczerpnięte, bo nawet dzisiejsze siatki pokrywające warkocze, można dostrzedz na niektórych obrazach starych zdobiących galerje Luwru.

Jeżeli dawne Rzymianki współubiegały się z mężczyznami w długości włosów i połyskliwości brody, to zato późniéj mężczyzni chcieli obudzać zazdrość kobiet, długością splecionych warkoczy spadających wdzięcznie na ramiona.

Moda ta zniesioną była we Francji za czasów Franciszka I., a to z następującéj przyczyny. Król ten bawił się z przyjaciołmi w zdobywanie fortecy wyrobionéj ze śniegu, jeden z broniących rzucił zapaloną głowienkę tak niezręcznie, że ta spaliła królowi warkocz, król więc kazał sobie obciąć włosy na głowie, a w to miejsce zapuścił brodę, co też zostało natychmiast naśladowanem przez najpierwszych elegantów Paryża.

W Europie w różnych czasach brody czerwone były bardzo modne, elegant prawdziwy nosił włosy czarne a brodę rudą, i tak przystrojony nie wątpił że zdobędzie serce każdéj piękności. Zamiłowanie do tego rodzaju koloru brody, utrzymuje się dotychczas w niektórych królestwach indyjskich, a nawet rzecz trudna do uwierzenia, ajednak niewątpliwa, że broda czerwona znieważona w osobie jednego oficera afgańskiego, była powodem wojny i straszliwego krwi przelewu.

Peruka wynalezioną została niby dla ukrycia tajemnic obnażonéj czaski. Śmieszne to złudzenie, utrzymuje się do dnia dzisiejszego pomiędzy osobami dotkniętemi tą niepowetowaną stratą włosów. W Rzymie kiedyś wyrabiano peruki na ogromną skalę, zprowadzając potrzebny do tego materjał z Germanji. Nigdzie jednakżeż nie można dostrzedz, tak śmiesznych peruk jak w Anglji, w któréj adwokaci zmuszeni są bronić spraw przystrojeni w peruki wyrobione z włosi końskich.

Trzebaby napisać gruby tom, aby opowiedzieć pokrótce wszystkie zwyczaje dotyczące się zarostu na brodzie. W jednych czasach, ta naturalna ozdoba twarzy przysługiwała wyłącznie księżom i urzędnikom, w innych znowu czasach samym wojskowym. Forma brody bywała bardzo rozmaitą już to widełkowata, to znowu w kształcie wachlarza i. t. p.

(d. n.)

O UBIORACH

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Moda co do sukni, zupełnie się na ten rok ustaliła. Do wyjścia na ulicę przyjęte suknie krótkie na takiéjże saméj spódniczce, z małym dętym paletocikiem. Młode osoby zamiast paletocika przypinają tylko osobną baskinę obciśniętą paskiem, lub szarfą przewiązaną z tyłu na kokardę.

Niektóre paletociki mają rękawy podwójne, jedne obcisłe do ręki, drugie szerokie spadające; wiele jednakże widać, ze zwyczajnemi wązkiemi rękawami.

Spódnice krótkie krają niekiedy zupełnie w kliny, częściéj jednak robią płaskie z przodu — fałdowane lub też przymarszczone od boków. U wielu spódniczek widziemy po obu stronach przedniego brytu, oznaczone kieszenie długie przeszło na pół łokcia, zakończone u dołu kwastem. Modę tę zalecamy szczególniéj osobom, cokolwiek otylszym, dla których przód sukni zupełnie gładki i opięty uważamy za niewłaściwy.

Suknie strojniejsze robią zarówno płaskie, ale długie i powłóczyste w tyle, pod te i krynolina powinna być cokolwiek powłóczysta. Na krynolinę kładzie się spódniczka biała żaknotowa lub muślinowa z szerokim wolantem, inaczej suknia zapada się u dołu.

Z pomiędzy sukien wizytowych, zwróciła uwagę naszą gładka jedwabna koloru orzechowego krajana zupełnie w kliny. U dołu szły ząbki szerokie przeszło na cal, wycięte z ciemniejszéj materji. Przód spódnicy naszyty był rzędem ciemnych szmuklerskich guzików, po obu stronach listewki rozchodziły się ząbki. Kieszenie wcięte po bokach przodu, przybrane też były ząbkami.

Stanik gładki spinał się na guziki. Ząbki szły z obu stron guzików, i tworzyły stojący kołnierz, z pod którego wychodziła w górę karbowana walansienka. Pasek taki sam jak suknia, przystrojony był w górze ząbkami, zapięty na rozetę z przodu. Ząbki zwrócone w górę od ramienia, tworzyły epolet — rękawy u ręki zakończone były odpowiednio.

Uważaliśmy takąż suknię czarną, przybraną fijołkowemi ząbkami, i dziko popielatą z ząbkami niebieskiemi *(bleu Mexique)*.

Ząbki te powszechnie dziś używane, do ubrania sukien tak jedwabnych jak bareżowych. Robią je na rozmaity sposób. Jedne wycinają po prostu z ukośnéj pliski i obejmują wypusteczką, inne znów układają że wstążki wązkiéj na palec. Widzieliśmy także wstążkę w śpiczaste ząbki, gładką lub wyrabianą w rzucik albo też w szkocką kratę.

Inna suknia wizytowa w formie gabryeli popielata jedwabna, przybrana była wzdłuż przodu, rzędem czarnych szmuklerskich guzików, przerabianych lawą. Z obu stron na zszyciu przedniego brytu, szła wązka kokardka czarna z pacioreczkami. Z po za torsadki rozchodziły się listki popielate jedwabne, sfałdowane w środku na jeden fałdek— objęte w koło stosowną wąziuchną torsadeczką. Stanik gładki, przybrany był takiemiż listkami, które szły od stanu do ramienia, z tyłu zaś zawracały się przez środek pleców. Stosowne epolety i mankiety, dopełniały osoby.

Ubrania bretońskie powszechnie się podobają. Do kaftaniczków bretońskich, o których wspominaliśmy już kilkakrotnie w zeszłych sprawozdaniach, paryżanki robią odpowiednie spódniczki, przybrane u dołu szlakiem wyszywanym różnokolorowemi jedwabiami. Widzieliśmy takie ubranie z kaszmiru brązowego. Spódniczka miała szlak szeroki na ćwierć łokcia naszyty nad obrębem, z pod tego spadały grelotki wełniane w odpowiednich kolorach. Przez cały tył sukni dany był szlak równie szeroki jak u dołu. Po bokach szły długie wązkie kieszenie zakończone u dołu grelotkami. Takiż sam kaftaniczek dopełniał całości tego ładnego ubrania, przeznaczonego do wód morskich.

Dla dzieci szczególniéj zalecamy kostium bretoński, tak malowniczy, a łatwy do zrobienia. Nic ładniejszego, jak spódniczka niebieska tybetowa naszyta u dołu białym paskiem wycietym w ząbki przerabianym różnokolorową włóczką albo jedwabiem. Zamiast kaftanika, dają dziewczynkom koszulkę bretońską, różniącą się tem od zwyczajnéj, że ma okrągły karczek, cały wyszyty w wązkie paski, dawane w kliny. Pasek do tego stosowny, spina się na kwadratową bretońską klamrę.

Uważaliśmy także pantofelki i czapeczki mezkie, wyszywane w sposób bretoński. Wkrótce nadeślemy stosowne desenie do tygodnika.

Mówiąc o ubraniach dla dzieci, wspomniemy tu ładne sukienki z niewarowego płótna, wycinane u dołu w ząbki okrągłe lub kwadratowe, objęte pąsową wełnianą plecionką. Staniczek zwykle bywa czworograniasty, wycięty, przybrany bertą w ząbki. Pasek takiż sam objęty plecionką, przewiązany z tyłu na kokardę.

Z takiegoż płótna robią dla dzieci fartuszki obszerne, przymarszczone do karczka, z epolecikiem w kształcie falbanki; fartuszki te obejmują pletnią, lub też wyszywają sutaszem czarnym albo kolorowym.

Dla starszych osób, szare płótno bardzo używane na ranny szlafroczek, lub na podwójną spódniczkę z paletocikiem. Suknie te wyborne na wieś, wyszywają sutaszem czarnym, fijołkowym lub brązowym, albo obszywają wełnianą kolorową pletnią. Powszechnie też przyjęte w tym roku spódniczki nankinowe z takiemiż paletocikami, te wyszywają zwykle białą plecionką. Nankin wyborny, takiż na dziecinne ubrania, tak dla chłopców jak dla dziewczynek.

Do wód morskich przygotowano w paryzkich magazynach mnóstwo paletocików flanelkowych białych w pąsowe, czarne, lub pomarańczowe centki, i okrągłych słomkowych kapelusików, przybranych najczęściej wieńcem suchych liści z różnokolorowemi jagodami.

Woalki z grenadiny zielonéj, szafirowéj, lub lilla upowszechniają się coraz więcéj. Do słomkowych popielatych kapeluszy, noszą woalki popielate.

S. z Ż. D.

OPIS RYCINY LITOGRAFOWANÉJ.

Suknie z wystawy paryzkiéj.

1. Suknia biała jedwabna, haftowana cienką sznelą w pawie pióra. Haft stosowny na przodach stanika, przez plecy na epolecie i u mankieta.

2. Suknia biała pikowa. U dołu spódnicy szlak wyszyty sutaszem szafirowym; na zszyciu brytów deseń podniesiony w górę tworzy nie wielką piramidę. Stanik otwarty pod szyją, podcięty u dołu po bokach, spięty na jeden guzik, w około naszyty sutaszem. Z obu stron guzika wyszyte rozety; pod spód idzie stosowna kamizeleczka spięta na małe guziki, z pod wykroju stanika widać muszlinową szmizetkę, zachodzącą pod szyję. Rękawy obcisłe, z epoletem i mankietem odpowiednim.

3. Suknia biała muszlinowa. U dołu na przodzie spódnicy szlak złożony ze wstawek walansienowych i muślinowych, naszytych prostopadłą drabinką. Z obu stron idzie wstawka z walansienki podwleczona wstążką niebieską. Z pod niższej wstawki wychodzi falbanka koronkowa szeroka na pół ćwierci łokcia. Tył spódnicy powłóczysty dwa razy ogarnirowany w zęby koronką. Koronka ta przytwierdzona wstawką niebiesko podwleczoną. Po bokach spódnicy, przechodzi wstawka na niebieskiem, do samego stanika. W miejscu gdzie garnirunek łączy się z sobą, dane dwie kokardy ze wstążki. Przód spódnicy w górze naszyty dwa razy wstawką niebieską na niebieskiem i koronką u dołu. Naszycie to zwane: *à l'Africaine* tworzy jakby mały fartuszek. Stanik gładki przybrany wstawką podwleczoną i koronką, przepasany muszlinową szarfą z końcami. U szyi wąziutka fryzka z walansienki. Z przodu nagarnirowana koronka przytwierdzona rozetką z niebieskiéj wstążki. Mankiety ze wstawki i odwiniętej falbanki.

4. Suknia jedwabna koloru jasno orzechowego Bismark na białéj spódniczce z falbaną. U dołu sukni trzy plisy w ciemnieszym odcieniu, objęte w górze pasmanterją, wykrojone w okrągłe zęby. Stanik gładki pod szyję. Na plecach i na piersiach wycięty kwadratowo od pasa do połowy; przez to wycięcie widać białą muszlinową szmizetkę. Szarfa ciemna związana z tyłu, zakończona frędzlą jedwabną.

5. Suknia jedwabna w kolorze niebieskim. Spódniczki dwie: pierwsza naszyta u dołu rulonikami w drabinkę, każdy rulonik objęty koronką czarną lekko przymarszczoną. Po bokach odstępy, w tych odstępach spadają szarfy ogarnirowane wązką koronką. Tych szarf spada cztery, dwie po bokach z przodu, dwie zaś ku tyłowi spódnicy. Wierzchnia spódniczka złożona z czterech brytów, tworzących festony u dołu. Bryt przedni i tylny zupełnie płaskie, ogarnirowane koronką, bryty boczne przymarszczane bez garnirunku. Pasek spięty z przodu na kokardę. Stanik gładki ugarnirowany koronką spięty na guziki.

6. Suknia jedwabna popielata, powłóczysta objęta u dołu sznurem. Przez tył spódnicy spadają trzy warkocze z atłasu w odpowiednim kolorze, zakończone u dołu kokardami ze wstążki. Stanik oznaczony z przodu warkoczami tworzy kaftanik z kamizelką, przez plecy przechodzi pięć węższych warkoczyków, z tyłu kokarda, u mankietów warkocz z odwróconą falbanką.

7. Suknia jedwabna jasno *maron*. Spódnica podwójna, pierwsza naszyta trzy razy pliską aksamitną w zęby, w kolorze brązowym; wierzchnia spódnica podpięta z prawego boku na dwa fałdy, objęta udołu takąż pliską. Stanik pod szyję, z kołnierzem i baskiną, przybrany pliską w zęby, przepasany szarfą aksamitną, z końcami spadającemi na dół Rękawy podwójne jedne wązkie, drugie szerokie, pagody podbite materją białą. Wierzchnia spódniczka również na białej podszewce.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

N. 6. Bratki. (Pensée, *Viola tricolor*). Pod tą nazwą rozumiemy nie owe polne, drobne i nikłe kwiateczki, lecz ogrodowe, duże, czasami jak dłoń wielkie, które zasiane we Wrześniu, kwitną w roku przyszłym od Maja do jesieni, w najrozmaitszéj mieszaninie barw.

Bratki albo brat z siostrą tak zwane, że niby chociaż to są jedne i te same kwiatki, każdy przecież jest inszy, taka jest w nich mięszanina barw. A ponieważ wyglądają jak małe dzieciaczki mocno zamyślone, ztąd ich nazwa francuzka Pensée.

Bratki są godłem braterskiej miłości, zgody i przyjaźni.

Bratki polne przeniesione do ogrodu, po kilku pokoleniach, zamieniają się na duże ogrodowe, i przeciwnie, ogrodowe w polu, przechodzą z czasem w drobne, polne bratki.

(d. c. n.)

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina paryzka litografowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

Dzień świtał gdy się rozchodzili. Przypadek zrządził że w tejże chwili biedny gałganiarz z długą siwą brodą, błąkał się jak cień przed bramą restauracji, grzebiąc swym zakrzywionym kijem w kupie śmieci, które za chwilę uprzątnąć miała miotła zamiataczy miasta. Dobrze podchmielony Camors, niepewną ręką zamykał portmonetkę i upuścił luidora, który potoczył się na błotnisty brzeg rynsztoku. Gałganiarz podniósł głowę i rzekł nieśmiało:

— Panie! co pada na śmiecisko... powinnoby do mnie należeć.

— Podnieś zębami tego luidora, a daruję ci go.

— Starzec zawachał się nieco, krew uderzyła mu do głowy; potem rzucił spojrzenie śmiertelnéj, pogardliwéj nienawiści na otaczających go mężczyzn i kobiety, przykląkł, piersiami położył się w błocie, i podnosząc się po chwili ukazał obecnym sztukę złota, którą trzymał w swych zdrowych i białych zębach. Zacna młodzież przyklasnęła głośno; biedak uśmiechnął się ponuro i odwrócił od nich.

— Héj! héj! przyjacielu! zawołał Camors, dotykając go palcem! chcesz zarobić jeszcze pięć luidorów?.. Daj mi policzek; obojgu nam to zrobi przyjemność.

Starzec spojrzał mu w oczy, wyszeptał kilka niezrozumiałych wyrazów, i nagle tak silny przyłożył policzek że Camors aż się potoczył. Obecni młodzi ludzie chcieli rzucić się na siwobrodego;

— Dajcie mu pokój, żywo zawołał Camors. Oto masz twoje sto franków, rzekł, odwracając się do gałganiarza.

— Zatrzymaj je pan, odrzekł tenże; już jestem zapłacony. I odszedł.

— Brawo! Belizaryuszu! zawołał Camors. Wiecie panowie, doprawdy zachwycony jestem dzisiejszą naszą pohulanką... idę marzyć jeszcze o niéj. Bywajcie zdrowi... żegnam was panie.. do widzenia, kochany książę.

To rzekłszy skoczył do nadjeżdżającego fiakra i kazał wieźć się do swego mieszkania. Brama pałacu była roztwarta na rozcierz, nie zupełnie jeszcze wytrzeźwiony, nie zwrócił nawet uwagi na gromadki służących i sąsiadów, tu i owdzie stojące na dziedzińcu. Spostrzegłszy go wszyscy umilkli, zamieniając między sobą nieme oznaki współczucia i politowania.

Ludwik de Camors zajmował drugie piętro pałacu; na wschodach oczekiwał go kamerdyner ojca: był on nadzwyczaj blady, trzymał w ręku zapieczętowany pakiet który drżącą podawał mu dłonią.

— Co to jest, Józefie, zapytał Camors?

— List który pan hrabia napisał do pana przed... przed odjazdem.

— Przed odjazdem?.. więc ojciec mój wyjechał?.. gdzie... po co... czemu płaczesz?..

— Służący nic nie odpowiedział.. zbrakło mu głosu w piersiach... oddał tylko pakiet.

— Boże mój! co to wszystko znaczy?.. czemu papier ten jest krwią zbryzgany?..

I co prędzéj rozdarł kopertę i przeczytawszy pierwszy wiersz: „Synu mój! życie mi się nudzi, więc je rzucam... upadł bez zmysłów. Pomimo wszystkich wad swoich był szczerze przywiązany do ojca.

Służący zanieśli go do pokoju.

II.

Przypomnijmy sobie że ukończywszy nauki, Ludwik de Camors rzucał się w świat pełen złudzeń i najświętszych cnót młodzieńczych — serce jego było wtedy skarbem wiary w ludzi i w siebie, współczucia, zapału i poświęcenia. Jakkolwiek złem i zaniedbanem było pierwsze jego wychowanie, nie zdołało jednak zatrzeć i skazić dobrych skłonności, czyli jak to utrzymywał jego ojciec, zarodu słabostek, które zapewne wyssał z mlekiem macierzyńskiem. Ojciec, chcąc go się pozbyć, umieścił go w wyższym zakładzie naukowym, gdzie przebył lat dziesięć, i była to jedyna usługa jaką kiedykolwiek oddał synowi.

Te stare klassyczne więzienia mają swoją dobrą stronę: ta karność prawdziwie klasztorna, ciągłe przebywanie z czystemi i gorącemi sercami, nieustanne obznajmianie się z najwznioślejszemi czynami, dojrzałością umysłów i wielkiemi duszami mężów starożytności, nie jest zapewne dostatecznem do wyrobienia ścisłych i dobrze określonych zasad moralności, budzi jednak w duszach pewne idealne poczucie życia i obowiązków, którego wartości przeczyć trudno.

Opuszczając szkoły, Camors piastował w myśli szkic jakiegoś nieokreślonego bohaterstwa, i pragnął gorąco odkryć praktyczną jego formułę, dającą się zastosować do czasu i kraju w którym los żyć mu kazał. I, jak można się było spodziewać, przekonał się że było to trudniejsze i zawilsze zadanie niźli z razu wyobrażał sobie, i że ta prawda któréj pragnął się poświęcić, nie wysuwała się z po za kryjącéj ją osłony, i nie troszczyła bynajmniéj o zawady i przepaście jakie go od niéj oddzielały. Nie zrażał się jednakże, i gotów był na pierwsze wezwanie służyć jéj gorliwie, i przez lat kilka pomimo tylu pokus bogactwa i namiętności właściwych jego wie-

kowi, potrafił wieść surowe i czynne życie biednego studenta. Ukończył chlubnie wydział prawny, uczęszczał na rozmaite wykłady, całe godziny przesiadywał w bibliotekach, i w tym okresie zapału i pracy, zgromadził sobie głęboki zasób nauki i wiedzy, który później z takiem podziwieniem widziano pod płochą i elegancką powłoką *sportsmann'a*.

Ale wśród tych przygotowań do walki, Camors tracił powoli najlepszą broń jakiéj nic nigdy zastąpić nie zdoła, tracił odwagę. Im więcej szukał prawdy, tem zacięciéj uciekała przed nim, i stawała się co dzień niepewniejszą, co dzień trudniejszą do pochwycenia, jak obrazy ruchome, nie dające się ująć i określić, które sen jaki przykry stawia nam przed oczy.

W połowie tego wieku, Paryż był jakby zasypany zwaliskami społecznemi, politycznemi i religijnemi, w pośród których najwprawniejsze oko, z trudnością mogło rozróżnić stanowczo kształty nowych budowli i zarysy gmachów przyszłości. Każdy widział zwaliska, ale nie widział aby coś wznosiło się na ich gruzach. W ogólnym tym bezładzie, po nad zgliszczami i szczątkami przeszłości, potężne intellektualne, życie wieku, ruch i ścieranie się idei, blask umysłu francuzkiego, krytyka, nauki, rzucały olśniewające światło, ale zdawało się że światło to, jak słońce pierwszych wieków, oświecało wprawdzie chaos ale go nie zapładniało. Fenomena śmierci i życia łączyły się i stapiały w olbrzymiéj fermentacji, w któréj wszystko się rozkładało, ale mi jeszcze nie zdawało się kiełkować. W żadnéj może epoce historyi, prawda nie była mniéj prostą, więcéj osłoniętą i zawikłaną; zdawało się że wszelkie najgłówniejsze wiadomości i zasady ludzkie, zostały razem wrzucone w ogień probierczy, z którego żadna cało wyjść nie miała.

Wielki to i wspaniały widok, ale głęboko zakłuca spokój wszystkich tych dusz, których interes i ciekawość zapełnić nie zdołają. Wydobyć z tego wrzącego haosu silną religię moralną, niewątpliwą ideę społeczną, i niezwalczoną wiarę polityczną, jest to nadzwyczaj trudne zadanie nawet dla ludzi najlepszéj woli; trzeba jednak wierzyć że posłannictwo takie nie przewyższa sił człowieka, i może Ludwik Camors byłby je spełnił zaszczytnie, gdyby był napotkał lepszych przewodników i lepsze przykłady.

Jednem z nieszczęść wspólnych wszystkim w świat wchodzącym, jest to, że spotykają w nim ludzi nie tak czystych jak ideje; i pod tym względem Camors pod nadzwyczaj smutną urodził się gwiazdą, ponieważ w najbliższem otoczeniu, w własnéj rodzinie, miał napotkać tylko najgorsze, jakby odwrotne strony wszystkich opinij, które mógłby mieć myśl przyswoić sobie.

Tu musimy powiedzieć słów kilka o jego rodzinie.

Jest to jedna z najznakomitszych rodzin Francji, wywodząca ród swój z Bretanji, gdzie w ostatnim jeszcze wieku ogromne posiadali dobra oraz wielkie bardzo lasy, po dziś dzień noszące ich nazwisko. Dziad Ludwika, hrabia Herweusz de Camors, wróciwszy z emigracji, odkupił cząstkę dóbr dziedzicznych, i osiadłszy w nich, urządził dom po staremu i do końca życia przechował niezwalczone uprzedzenia przeciw rewolucji francuzkiéj i królowi Ludwikowi XVIII. Miał czworo dzieci, dwóch synów i dwie córki, i uważał sobie za obowiązek zaprotestować przeciw nienawistnéj równości wypływającéj z kodexu cywilnego, i prawnem podejściem jeszcze za życia swego urządzić rodzaj majoratu na korzyść najstarszego syna, Karola, Henryka, z krzywdą innych spadkobierców, Roberta-Sosteniusza, Eleonory-Joanny i Ludwiki-Elżbiety. Córki przyjęły niby pokornie postanowienie które ich kosztem wzbogacało brata, w gruncie jednak nigdy nie przebaczyły mu tego, ale Robert-Sosteniusz który z tytułu młodszéj linji, głosił jakieś nieokreślone tendencye liberalne, a nadto zadłużony był po uszy, powstawał jawnie przeciw woli ojca. Zaczął od tego że wrzucił w ogień bilety wizytowe z herbem i napisem: kawaler Lange d'Ardennes de Camors, i kazał wylitografować inne z tym prostym napisem: Dardennes młodszy (z Morbihanu) i kilka sztuk posłał ojcu. Od téj chwili odgrywał rolę republikanina.

Przed skończeniem nauk, Ludwik de Camors, nie znał zupełnie swego stryja który od dawna poróżnił się z jego ojcem, jednak w skrytości otaczał go jakąś niewysławioną czcią i uwielbieniem, przypisując mu wszystkie cnoty i zalety zasady którą tenże przedstawiał w jego oczach.

Nie będziem rozpisywać się dłużéj o stosunkach Ludwika de Camors ze stryjem, dość że zasiały one w umyśle jego ziarno niewiary i zniechęcenia, które w przyszłości aż nazbyt bujne wydać miały plony.

Prostem następstwem tego rozdrażnienia i rozczarowania, było naturalnie nagłe przerzucenie się do przeciwnego obozu; wyrozumował sobie że jego urodzenie; nazwisko, stosunki familijne i zajmowane w społeczeństwie stanowisko, wkładały nań obowiązek prowadzenia zaciętéj walki z despotycznemi i strasznemi doktrynami, które odtąd w jego przekonaniu ukrywały się po za wszystkiemi teorjami demokratycznemi. W owych rozmowach ze stryjem, najwięcéj zraziło go i odstręczyło nieustanne popisywanie i chełpienie się Dardenn'a zasadami najbezwzględniejszego ateizmu. Jakkolwiek Camors nie miał żadnéj gruntownie wyrobionéj wiary, jednak na dnie jego duszy spoczywało jakieś nieokreślone poczucie poszanowania i jakby drażliwości religijnéj, oburzające się na tak cyniczną bezbożność. Tak wtedy jak i w ciągu całego swego życia nie mógł nigdy pojąć, aby jakiekolwiek zasady mogły o swéj własnéj sile utrzymywać się w sumieniu ludzkiem, jeśli nie miały głębszych podstaw i wznioślejszego uświęcenia. Nie ma zasad bez Boga! — oto niewzruszone jego dilemma, którego dotąd żaden filozof niemiecki nie tylko obalić, ale nawet zachwiać nie zdołał.

Ten przewrót w ideach nakazywał mu zbliżyć się do innych, nieco zapomnianych dotąd członków rodziny. Obie ciotki jego mieszkały w Paryżu. Wiadomo że skutkiem wyż wspomnianego postanowienia ojca, żadnego prawie nie miały majątku, i dla tego chcąc pójść za mąż, musiały pominąć wiele okoliczności i zgodzić się na pewne ustępstwa. Starsza, Eleonora-Joanna, za życia jeszcze ojca poślubiła hrabiego de La Roche-Jugan, człowieka przeszło pięć-

dziesiąt-letniego, ale pod każdym względem godnego szacunku i przywiązania. Żona jednak nie kochała go wcale; ich pojęcia i sposób widzenia nie zgadzały się z sobą. Pan de La Roche Jugan był jednym z tych ludzi co z nieograniczonem poświęceniem służyli rządowi restauracji, jakkolwiek smutne dlań przewidywali następstwa; w młodości, był w ministerium i przy boku księcia de Richelieu; nauki i przykład tego znakomitego męża, wyrobiły w nim wzniosłe i pełne umiarkowania uczucia, gorący patryotyzm i niewzruszoną wierność, choć nie popartą złudzeniami. Dostrzegł grożącą przepaść, okazaniem jéj ściągnął na siebie nieukontentowanie księcia, mimo to nie odstąpił go w złéj doli, rzucił zawód publiczny i zamknął się w domowéj zaciszy. Ponieważ szczupły bardzo posiadał majątek, ta zmiana położenia dotkliwie dała mu się uczuć, przechował jednak wiernie swoją wiarę polityczną, raczej jak religję niźli jak nadzieję, i od téj chwili całą swą działalność, swe gorące zamiłowanie dobra, całą swą ufność i wszystkie nadzieje, złożył i zwrócił do Boga. Ta głęboka i oświecona pobożność jego, stawiła go w rzędzie owych umysłów wybranych, pragnących wtedy gorąco pogodzić starożytną wiarę narodową, z nieodzowną swobodą tegoczesnych idej; i równie jak większa część szlachetnych jego współtowarzyszy, napotkał na téj drodze tak straszne przeszkody, zawody i smutki, że wkrótce sił mu nie stało i do lepszego przeniósł się świata. Wprawdzie i własna żona nie mało się przyczyniła do téj przedwczesnéj śmierci, zatruwając mu życie swą niewłaściwą i przesadzoną gorliwością, i cierpką, formułkowatą dewocją. Była to kobieta z poziomem sercem, pełna nieograniczonéj pychy, i tak jak brat jéj Dardannes, posługiwał się demokracją dla dopięcia swych celów i zasycenia uczuć zawiści i zemsty, tak ona używała Boga za narzędzie swych widoków i namiętności. Zostawszy wdową otoczyła się towarzystwem swego wyboru; nie widziałeś w jéj salonie jak tylko parafian prawowierniejszych niż własny ich biskup, oraz duchowych których jedyną zaletą był ciemny, nieokrzesany fanatyzm.

Camors, dopuszczony do tego wybranego grona z tytułu krewnego i neofity, rozpoznał w nim pobożność Ludwika XI i chrześciańską miłość Katarzyny de Medicis, i skutkiem tego stracił resztę religji jaka jeszcze tlała w jego sercu.

I zapytał siebie boleśnie: czy to na świecie koniecznie trzeba być fanatykiem lub niczem? i szukał daremnie jakiejś opinji pośredniéj stawionéj z siłą i skupieniem się stronnictwa... i sam nie wiedział co począć.

Młodsza ciotka jego, Ludwika-Elżbieta, wiedziona wrodzonem zamiłowaniem zbytku i uciech światowych, wzdychała tylko do bogactw i dla pozyskania ich nie ulękła się mezaliansu. Korzystając ze śmierci ojca, zaślubiła barona Tonnellier, którego dziad był prostym młynarzem, ale ojciec, człowiek prawy i pełen zasług i zdolności, piastował wyższe dostojeństwa za pierwszego cesarstwa. Baron Tonneller był bardzo bogaty, a majątek jego zwiększał się z dniem każdym, skutkiem szczęśliwych spekulacji przemysłowych. Za młodych lat był bardzo przystojnym, zwolennikiem Voltair'a, i bardzo liberalnym, z biegiem czasu pozostał wolterjanistą, ale przestał być bardzo przystojnym, a co więcéj bardzo liberalnym. Pokąd był tylko prostym doputowanym, objawiał jeszcze niekiedy jakieś zachciewki demokratyczne, ale w dniu w którym został wyniesiony do godności para, uznał stanowczo że rodzaj ludzki nie powinien już żadnego domagać się postępu.

Gdyby chciał być szczerym wyznałby otwarcie: że pojąć tego nawet nie umie, jak to być może iż jeszcze bywają na świecie zawieje i burze, a niebo ciska pioruny, i czemu cała natura nie jest szczęśliwa i spokojna, kiedy on, baron Tonnelier, raczy być zadowolony i szczęśliwy.

Baron Tonnellier nie był już parem Francji, w epoce kiedy Ludwik de Camors miał sposobność poznać go i ocenić, lecz że należał do tego rodzaju ludzi co nawet upadając żadnéj sobie nie robią krzywdy, ale przeciwnie z upadku korzyść wyciągnąć umieją, potrafił więc wyzyskać sobie bardzo ważne stanowisko w świecie urzędowym, i starał się gorliwie oddawać nowemu rządowi, takież same usługi jakie oddawał uprzedniemu.

Dodamy: że zazwyczaj nazywał *bouzigot'ami* wszystkich ministrów których podejrzywał o zamysły lub usposobienie liberalne, a wszczególności tych co poważali się sprzyjać oświacie ludu; jednem słowem, nigdy szkodliwszy i niebezpieczniejszy doradca nie zbliżył się do stopni tronu, szczęściem tylko że zaufanie to zawdzięczał swemu stanowisku a nie ufności panującego.

Zresztą był to człowiek światowy, uprzejmy i dobrze zachowany; prowadził życie bardzo wolne i z największem upodobaniem przesiadywał za kulisami Miał dwie córki które właśnie tylko co wydał za mąż, i w ich obecności powtarzał najrubaszniejsze żarty i najskandaliczniejsze historyjki; to też wszystko zdawało się zapowiadać, że równie jak kiedyś ich matka, pójdą drogą skażenia i hańby.

Tak więc, z jednéj strony samo zetknięcie się i przykład jego krewnych zabiły w panu de Camors wszelką wiarę, nauczyły nie ufać wszelkim zasadom i przekonaniom, z drugiéj znów najstraszniejszym jego wrogiem, największą przyczyną zepsucia był własny ojciec. Rozkiełzany rozpustnik, bezmierny samolub, skażony do gruntu, mistrz wyćwiczony w wysokiéj szkole paryzkiego zepsucia, bez wiary i zasad, mieniący się wyższym nad wszystko ponieważ wszystko poniżał, wyśmiewający wszelkie obowiązki, ponieważ w całem życiu swojem nie szanował żadnych, oto wierny obraz ojca Ludwika de Comors; jednak obok tego nie przekraczał nigdy zasad honoru pojmowanych w jego świecie, miał nadzwyczaj odznaczającą się i pańską powierzchowność i coś imponującego w całej póstawie. Ojciec i syn widywali się bardzo rzadko; duma nie pozwalała panu de Camors wtajemniczać syna w swe rozwiązłe życie, a jeśli niekiedy spotykali się przy objedzie lub śniadaniu, słuchał z obojętnem szyderstwem pełnych zapału lub zniechęcenia zwierzeń syna, nigdy nie zaszczycił go poważniejszą rozprawą lub dysputą, ale tylko odpowiadał kilku gorzkiemi i wyniosłem słowy, które jak zimny lód padały na serce syna, przytłumiając w niem ostatnie porywy uczuć i wiary.

W miarę coraz wzrastającego zniechęcenia, Ludwik de Camors tracił zamiłowanie nauki i pracy, i zatapiał się coraz głębiéj w odmęcie łatwych rozkoszy i próżniaczego życia ludzi jego stanu; i powoli zaczął smakować w nich coraz więcéj, roztaczając wszędzie w około siebie jakiś niewysławiony urok powabu i wyższości umysłowéj, ale zarazem i pewien posępny a niekiedy gwałtowny smutek. Cała postać jego tchnęła czemś cierpkiem i złowieszczem; mimo to był ulubieńcem kobiet a tem samem postrachem mężczyzn. Wielu młodych mężczyzn zaczęło go naśladować, i mógł uważać się za założyciela owéj zachwycającéj szkoły młodzieży bez uśmiechu. Ale ten wyraz nudy i znużenia napiętnowany w całéj jego postaci, miał przynajmniéj słuszną przyczynę, kiedy tymczasem służalczo naśladujący go młodzieniaszki, którzy nigdy nie zaznali żadnych cierpień, prócz chyba pochodzącach z przeładowania żołądka, pragnęli koniecznie okazać się zwiędłymi przed rozkwitnięciem, i głośno rzucać ludzkości słowa lekceważenia i pogardy.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli o charakterze i usposobieniu Ludwika de Camors, czytelnik łatwo pojmie że ów płaszcz pogardliwéj obojętności w który się przystrajał w obec świata, był tylko wytworem sztuki. Popadając w wspólną, i tak dziś pospolitą otchłań zwątpienia, miał jednak tę wyższość nad większością swych współtowarzyszy, że nie zaaklimatyzował się w niéj z nikczemną rezygnacją, ale szarpał się i rzucał nieustannie w gwałtownych porywach. Nie tak łatwo ubezwładnić dusze silne; nie znoszą one indyferentyzmu, ale przeciwnie domagają się motora, przyczyny życia, powodu działania, domagają się przekonania i wiary; Ludwik de Camors miał je znaleść nareszcie.

III.

W podanym wyżéj przedśmiertnym swoim testamencie, pan de Camors nie wszystko jeszcze wypowiedział; oprócz podanych środków, powinien był jeszcze wykazać synowi konieczną potrzebę wyniesienia się i zbogacenia, ponieważ żadnego prawie nie zostawiał mu majątku. Interesa jego majątkowe już od dawna w bardzo złym były stanie; ożenił się jedynie w celu podratowania ich, ale spekulacja ta całkiem mu się nie powiodła. Liczył na ogromną sukcessyę jaka miała spaść na jego żonę, i dla tego zażądał jéj ręki, aż tu wbrew wszelkim wyrachowaniom, oczekiwany spadek wzbogacił zakłady dobroczynne. Hrabia de Camors wytoczył legataryuszom proces; skończyło się na układzie zapewniającym mu do śmierci 30,000 fr. dochodu. Nadto, dzięki swemu stanowisku, stosunkom i wpływom osobistym, pobierał jeszcze kilka znacznych synekur w administracjach finansowych; lecz wszystkie te dochody były naturalnie dożywotne i nie przechodziły na syna. Pałacyk w którym mieszkali był tylko wynajętym, tak więc nowy hrabia de Camors, wychowany w zbytkach i przepychu, w smutnem bardzo zostawał położeniu, ponieważ cały dziś fundusz jego stanowił tylko mały posag matki.

Prawdę mówiąc, jeszcze za życia swego hrabia de Camors nie jednokrotnie dał do zrozumienia synowi, że mu żadnego nie zostawi majątku; tak więc smutny los jaki mu się dostawał w podziale nie był niespodzianym, i dla tego pewnie Ludwik de Camors nie był ani zdziwiony, ani uderzony niecnem samolubstwem którego stawał się ofiarą. I nie wpłynęło to bynajmniéj na osłabienie czci jaką otaczał pamięć ojca, nie zachwiało poszanowania i ufności z jaką kilkakrotnie odczytywał szczególniejszy jego testament. Zawarte w nim teorje moralne nie były nowością, panowały, że tak powiem, w powietrzu i Ludwik de Camors nie jednokrotnie roztrząsał je w swym rozgorączkowanym muzgu, ale nigdy jeszcze dotąd nie przedstawiły mu się w tak ścisłéj formie dogmatu, z taką wyborną dokładnością praktycznego systemu, a nadewszystko poparte powagą takiego głosu i takiego przykładu.

Trzeba że prosty wypadek utwierdził jeszcze w umyśle Ludwika de Camors, silne wrażenie jakie nań wywarły ostatnie myśli ojca. W tydzień po jego śmierci leżał na sofce w swoim gabinecie, z twarzą posępną jak noc i zajmujące go myśli, gdy w tem wszedł służący i oddał mu bilet wizytowy. Wziąwszy go Camors przeczytał: Lescande, budowniczy. Blade policzki jego pokraśniały nagle: Nie przyjmuję, odpowiedział.

— Tak też mówiłem, odpowiedział służący; ale ten pan domaga się tak natarczywie...

— Natarczywie?

— Tak jest, zdaje się że ma mówić z panem o rzeczach nadzwyczaj ważnych.

— Nadzwyczaj ważnych! powtórzył Camors wpatrując się w służącego. Proś.

Zerwał się z sofy i zaczął chodzić po pokoju; po ustach jego przebiegł uśmiech boleśnéj goryczy:— Więc jeszcze trzeba będzie go zabić, szepnął.

W tejże chwili Lescande wszedł do pokoju, i pierwszy zaraz ruch jego uspokoił obawy Camors'a. Porwał i uścisnął w swoich dłoniach ręce hrabiego, który zauważył iż Lescande był bardzo zmieniony i usta mu drgały:

— Siadaj, uspokój się, rzekł mu.

— Mój przyjacielu, rzekł Lescande po chwili, daruj że dziś dopiero przychodzę cię odwiedzić... ale tak jestem nieszczęśliwy... i mnie także tak straszny cios dotknął... patrz i jam w żałobie...

Camors drgnął konwulsyjnie.

(d. c. n.)

SUKNIE Z WYSTAWY POWSZECHNÉJ W PARYŻU. 1867 r.



TYGODNIK MÓD w WARSZAWIE.